Luty – Niedziela – Bóg widzi,
nie wiem który. – [1877]

Szanowny i kochamy Kolego!

Widzę, że jesteście prawdziwy Litwin, jeden z takich, o jakich W. Pol mówi:

Kiedy szczery, jak wosk mięknie,
Ale kiedy kto zahaczy,
To i w grobie nie przebaczy. –

Cóż u diabla! Cóż tam ja zahaczyłem? Nie napisałżem Wam komplementu w albumie jako staremu literatowi nie zaś samcowi? Nie gubiłem że regularnie wszystkich numerów gazety mi przysłanych, czym dałem dowód, że jestem prawym literatem, nie dającym nikomu ubocznie do poznania, że się ma za porządniejszego człowieka jak drudzy? Nie zastępowałem tu ojca Ludkowi, prowadząc go na dziewki w Anaheim, o czym sam może Wam powiedzieć? Czy na koniec mój list przedostatni rozgniewał Was? *Unde irae?* jak mówi Tacyt. Czy może Wam kto nagadał iniurii na mnie? –

Jeżeli za list – toć Wy jako literat powinniście wiedzieć, jak sądzić literata, który dla stylu, dla jakiejś metafory, metonimii lub synegdoche rodzonemu ojcu łatkę przypnie. W interesie naszego cechu nie powinniście mierzyć tych rzeczy zwykłą miarą. – Jeżeli kto w St. Francisco nagadał iniurii – mój Boże – idźcie lub jedźcie do Warszawy – tam być może najszanowniejsi skądinąd ludzie powiedzą o mnie, że 1° jestem szpiegiem utrzymywanym w St[anach] Zjednoczonych za ruble rosyjskie, 2° podpalaczem, 3° (najbliższe prawdy) gwałcicielem nieletnich dziewcząt, począwszy od lat dwóch, skończywszy na 50 – 4° złodziejem kieszonkowym lub bankowym, 5° pijakiem nałogowym cierpiącym *delirium tremens,* 6°(hm! hm!) karciarzem… i wszelkie *et caetera,* które z powyższych pięknych danych wypadają.

Liczni moi czciciele i zwolennicy, szczególniej stare panny, które *extra ordinario modo* kochają się w moich utworach, powiedzą znów przeciwnie. Nie bójcie się, będą tacy, którzy i [o] Was powiedzą jedno i drugie. Co do mnie, bierzcie tylko, że jedni i drudzy znają połowę prawdy – a i wówczas nie widzę powodu, dla którego by się stosunki nasze miały rozchwiewać. Jeżeli nie chcecie żyć ze mną na połowę podpalaczem, pijakiem etc. zawołam z świętym Sewerynem apostołem *Noricum: vide caeteros amicos tuos et omniam societatem* – z kimże Pan żyć będziesz wyjąwszy kapitana – którego cnota odnośnie do kobiet, także zresztą jest wątpliwa. –

Ale wątpię, aby jaki *precax lingua* szarpać miał cnotę moją – więc chyba gniew – *ira*, o której mówi zdaje mi się *tirocinium linguae latinae* że: *ira furor brevis est*. Dajcie sobie z tym pokój. Dalibóg miałem dla Was zawsze i mam połowę tej nienawiści i życzeń ciężkiej choroby, kopy diabłów, przegnicia wątroby, udławienia się, zlecenia bez dziewięciu na totusa niż dla innych literatów. To już coś znaczy. – W mojej własnej opinii byłem przy tym zawsze ideałem piękna, geniuszu, talentu: są to przymioty wysokie. – Jak można się na mnie kwasić – jeszcze gdzie – w San Fr[ancisco] Cal., jeszcze komu – człowiekowi utrzymującemu *stationary* – towarzyszowi z Mont Diablo, Dupont-street od jenerała etc. Gdybym nie był filozofem, oddałbym to na sąd jakiej jury (wymawia się „dziury") np. Sary lub Henriety. Wzywa się błądzących do poprawy.

„Gazety" już nie chcę, choć tam wychodzi podobno jakaś *Barania Głowa,* utwór genialny ulubionego mego autora Litwosa. Nie chcę raz dlatego, że nie chcę, a po wtóre, że ja wraz z moim kuferkiem o jednym uchu, z sakwojażem przez plecy, z baranią czapką etc., etc. prawdopodobnie zejdę na kształt słońca niedługo na firmamencie St. Franciszkańskim. Powiem Wam na ucho: farmerstwo, wywożenie gnoju, czyszczenie puzdra „Dżordżowi" (nasz cugowy koń), kuropatwy, guziaste zające i inne rozmaite sielankowe przyjemności zacząwszy od wstawania (w teorii) do dnia, a skończywszy na używaniu liścia łopianowego tam, gdzie inni używają papieru – tak mnie już znudziły, że *vomitandus sum* albo inaczej „prosto odwrócenie", jak mówią Polki petersburskie – naturalnie korzenne Polki – na które położyć się można, ale których nadąć nie można. Może skutkiem tych nudów i temperament mój mniej się mi wydaje teraz zgodny z usposobieniami innych kolonistów niż dawniej, a nogi i ręce panny Luedtke jeszcze większe. *Jam satis* etc. Tyle jestem bezczelny, że ani mi się śni wstydzić tej mojej zmienności. Pisałem do Warszawy, żeby mi przysłano 200 dolarów – jak mniemam, część tylko tego, com zarobił – i co mi się należy. Polikwiduję rachunki i w nogi. Jeżeli tak za dwa tygodnie jeszcze nie przyjdą pieniądze – napiszę do kapitana z prośbą o powyższą sumę – a jednocześnie do „Gazety" list, aby przysłali wszystko. Potem będzie, co Bóg da. W St. Francisco posiedzę tak długo, jak wypadnie z rachunku, złożywszy tylko to, co potrzeba na drogę, do banku. – Na drogę? gdzie? nie wiem – korespondencje wszędzie można pisać. Musicie się tam teraz nieźle bawić z Moskalami, a preferansik „prosto przeleźć". Dałem sobie słowo, że nie będę grywał (na fortepianie). Czy widujecie się często z p. Bielawskimi, z naszą Divą i z kapitanem? Miło mi będzie zobaczyć się z nimi wszystkimi. Bądźcie łaskawi załączyć ukłony wszystkim po szczególe.

Ściskam Was.

Litwos